

Kolędowanie w Węgajtach

Teatr wiejski Węgajty istnieje już 9 lat i wywodzi się z tego samego nurtu co niegdyś Stowarzyszenie Teatralne Gardzienice. Nurtu, który w schyłkowej fazie swojej pracy w Polsce zapoczątkował Jerzy Grotowski, określając go jako „kulturę procesów” w miejscu właściwym naszym czasom „kultury produktów”. Na prosty ludzki język tłumacząc — oznacza to budowanie wspólnoty między widzami i aktorami w oparciu o żywą tradycję, sięganie do źródeł tej tradycji, do korzeni teatralności.

Spektakl, przedstawienie czyli gotowy „produkt” nie są najważniejsze w tym nurcie aktywności — jej istotą jest spotkanie, nawiązanie więzi społecznych, wzajemna wymiana między społecznościami aktorów a społecznościami lokalnymi. Tradycją najbliższą teatrowi Węgajty jest puściczna literacka i społeczna Stanisława Vincenza, autora wielkiej sagi Huculszczyzny i jej wielokulturowego żywiołu — „Na wysokości połoninie”. Treścią codziennej praktyki są wyprawy — wiosenna i zimowa do wiosek Suwalszczyzny, na Kurpie, w Beskid Niski, na Żywiec, czyżnę, na (zagraniczną) Huculszczyznę — wszędzie tam, gdzie nie zaginęła jeszcze żywa pamięć o roku obrzędowym. A poza tym — całoroczna działalność warsztatowa, doskonalenie techniki aktorskiej i — zwłaszcza — muzycznej. W 5-osobowej grupie nie ma ani jednej osoby, która nie grałaby bodaj na jednym instrumencie.

W Węgajtach teatr naprawdę rodzi się z ducha muzyki.

Przed rokiem, za sprawą Wolfganga Niklausa narodziła się też w tym wielkim zespole, na dalekiej podolsztyńskiej wsi Schola Cantorum — oparta na poważnych studiach nad dramatem liturgicznym i śpiewem gregoriańskim. Podczas tegorocznego Bożego Narodzenia wystąpili w kościele parafialnym w Nowym Kawkowie z dramatem liturgicznym „Ordo Stellae” czyli rzecz o gwieździe (wg XII-wiecznego rękopisu z Opactwa Saint-Benoit nad Loarą). W repertuarze mają Węgajty spektakl osnuty wokół „Doliny Issy” Miłosza i „Historie” wg Vincenza — epickie opowieści o świecie zaginionym i o wiecznie żywym świecie wartości. Kolędowanie i obrzędy wielkanocne są przedmiotem wypraw zimowej i wiosennej.

Tegoroczne kolędowanie zapowiadało się bardzo bogato.

Miały zjechać zespoły z Litwy, Czech, Rosji, Macedonii. Przypadki losowe i kłopoty materialne sprawiły, że skończyło się na Macedończykach z byłej Jugosławii. Nie doszły też do skutku — planowane rok wcześniej — wyprawy na Huculszczyznę i do Łemków na południe Polski. Z braku funduszy. Zespół Węgajty, wykonujący ogromną, nie do przecenienia pracę w budowaniu „małych ojczyzn”, w przerzucaniu pomostów kulturowych między krainami, gdzie dawniej istniały te pomosty w sposób naturalny, zespół zasługujący na

nieustającą promocję Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Ministerstwa Kultury — stale potyka się o brak pieniędzy. Żyje z dotacji przydzielanych skąpo i wyłącznie na określony „projekt”. O stałym sponsorowaniu bazy — opał, światła, pracy ludzi — nie ma mowy. Rzecz więcej niż wstydliwa w kraju, gdzie minister kultury, mieniący się ludowcem, rozdaje lekką ręką miliardy na pismo, którego nikt nie czyta...

Ale los wynagrodził Węgajtom ograniczenie planów. Wacław Sobaszek, kierownik grupy, reżyser i nieustrudzony poszukiwacz, odnalazł gdzieś na wiejskim, warmińskim strychu XIX-wiecznego „konika” kolędowego, zwierzątko wyraźnie spokrewnione z krakowskim Lajkonikiem, o którego funkcji dawno już we wsi zapomniano. Bo i skąd miała wieś Węgajty pamiętać, skoro prawie całą jej rdzenną ludność, Warmiaków, nieboszczka PRL skazała na niechciane wygnanie? Wszakże konik („szemle”) odnalazł się, został odnowiony i ruszył w tan po okolicy. Kolędowanie we wsi, chodzenie z Herodem, szemlem, kozą, Śmiercią, Żydem i obowiązkiem muzyką — od chałupy do chałupy — trwało 12 godzin, od 16 do 4 nad ranem. Wieś Węgajty została zdobyta.

Ale kolędowanie to nie tylko chodzenie z „szemlem” i muzyką po wsi.

W dniach od 31 I do 2 II odbyło się w Teatrze Węgajckim seminarium poświęcone różnorodnym tradycjom kolędniczym — z Żywieckiego, Huculszczyzny, Macedonii. Filmy wideo

oglądali liczni warsztatowicze, wśród których prym wiodła młoda teatrologia krakowska.

Główne obrzędy w Węgajtach, pobliskim Jorkowie i zamykający Herodowy „karnawał” — „rozples”, czyli tańce końcowe w Gotkach, odbyły się w dniach 1 i 2 lutego. Najpierw kolędowanie i zabawa pod przywództwem Macedończyków w Węgajtach. Odmienność tradycji prawosławnej ujawniła się już na filmie wideo. Macedończycy, którzy zjechali ze wsi Wewczani nad Ohrydem, zaprezentowali tylko ułamek tradycji — tam wciąż żywej i o wiele bardziej archaicznej niż ta, która przetrwała w naszym rodzinnym kolędowaniu. Kolęda — to przekształcone łacińskie „Calendae”, oznaczające początek nowego miesiąca, nowego roku. Pierwotnie wiążące się z tym obrzędy — to życzenia pomyślności, zbiorów, płodności. Ten archaiczny obyczaj zaklinania płodności, w prawosławnym obrzędzie macedońskim zachował się bardzo wyraziście. Kolędnicy tamtejsi nazywają się „Wasiliczary”, bo na św. Wasyla przypada ich główny spektakl, a jego treścią jest — z pozoru od chrześcijaństwa daleka — magia związków: żywych z umarłymi (jak w „Dziadach”), uzdrawianie magią chorych, „agon” czyli walka rywalizujących grup kolędniczych. Wreszcie element równie ważny — zaloty, karnawałowe zaślubiny Panny (przebranego mężczyzny) i Młodzieńca. W Węgajtach, w kapiącym deszczu, odbyły się tylko przyspiewki zalotne Macedończyków przy płonącym ognisku. A potem w rytm „kola” w pobliskiej remizie tań-



Wyprawa zimowa teatru Węgajty, Beskid Niski, 1992 r.

czyła cała wieś. Bo „kolo” — czyli ten pierwotny element zataczania magicznego kręgu wokół swoich, ochrona od złego, znak związku (widoczny także w prastarym huculskim obyczaju rozstawiania kołędników w obrębie koła) być musi. Kolo — powszechny na Bałkanach taniec — objawia tutaj swoją archaiczną formułę — wiązania społeczności. Podobną funkcję — odnowy i narodzin nowego związku — mają zalotne przyśpiewki młodej pary.

Macedońskie „Wasiliczary” podbiły Węgajty. Ale to, co najbardziej wzruszające i wykraczające poza rytuał obrzędu ludowego odbyło się za sprawą

Teatru Węgajty w Domu Starców w Jonkowie. Najpierw kołędnicza parada z szemlem i muzyką przemaszerowała przez całą wieś. A potem w Domu Starców — widowisko kołędowe, które wszyscy znamy — ze Śmiercią, ścinającą głowę Herodowi, Żydem, co „Starego Pana Boga jak należy umie, ale tego małego wcale nie rozumie” i hasającym szemlem (z jeźdźcem w postaci urodziwej krakowianki, Kasi). Widowisko Herodowe kończy się. Ale nie kończy się muzykowanie — wciąż zmieniająca wykonawców kapela gra melodie kurpiowskie, żywieckie, kaszubskie i huculskie. No i naturalnie —

macedońskie, tańczone wspólnie, kto żywy — w kolo. Starsze panie i panowie, podrostki i „teatrolodzy” — wszyscy.

A potem w Gotkach „rozples” do rana. Koniec i spiętrzenie karnawału. Tańce litewskie, kurpiowski rzewny walczyk, nieodłączne macedońskie „kolo” i najpiękniejsza może ze wszystkich huculska pieśń:

*Poberemsja, poberemsja nedel'ju
poberemsja nedel'ju
bo ja tebe kochaju.*

I tak się kończy ten krąg zaczarowany — o białym świcie, jak u Wyspiańskiego.

ELŻBIETA MORAWIEC